

Gordon R. Dickson

Przed śmiercią nie ma osłony

(No Shield from the Dead)

IF Worlds of Science Fiction, January 1953
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

© Public Domain

This text is translation of the short story "No Shield from the Dead" by Gordon R. Dickson, published by Project Gutenberg, May 18, 2010 [EBook #32410].

According to the included copyright notice: "This etext was produced from IF Worlds of Science Fiction January 1953. Extensive research did not uncover any evidence that the U.S. copyright on this publication was renewed."

It is assumed that this copyright notice explains the legal situation in the United States. Copyright laws in most countries are in a constant state of change. If you are outside the United States, check the laws of the appropriate country.

Copyright for the translation is transferred by the translator to the Public Domain.

This eBook is for the use of anyone anywhere at no cost and with no restrictions whatsoever.

Całą kolekcję tłumaczonych przeze mnie utworów SF znaleźć można pod adresem:
http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB_kolekcja%22&sort=-publicdate

Było to niewielkie, przyjemne przyjęcie, ale odrobinę za bardzo oczywiste. Terri Mac przejrzał je już po pokonaniu pierwszych kilkunastu kroków w głąb mieszkania. Lekki rumieniec zabarwił jego wystające kości policzkowe.

— To śmieszne — oznajmił.

Cichy szmer głosów zamarł. Szklanki z koktajlami zostały odstawione na rozmaite znajdujące się pod ręką stoły i meble, zaś wszystkie twarze zwróciły się w stronę dobiegającego sześćdziesiątki mężczyzny, który siedział na niebezpiecznie wysokim stosie poduszek, ułożonych na krześle w kącie pomieszczenia.

— Kontroler nie jest głupcem — powiedział starszy człowiek ugodowo, machając bagatelizująco ręką. — No, idźcie już, dzieciaki.

Zebrani ludzie uśmiechnęli się i skinęli głowami. Zupełnie jakby normalnie gdzieś wychodzili, przecisnęli się koło Terriego Maca i wylali się przez drzwi. Nawet blondynka, którą Terri poderwał na balu w ambasadzie i która go tutaj przyprowadziła, wyszła na zewnątrz swobodnym, ale zdecydowanie mniej pijanym krokiem, niż ten, który prezentowała wcześniej tego wieczora.

— Niech pan siada — powiedział starszy mężczyzna.

Terri Mac tak też zrobił, spoglądając badawczo na pomarszczoną twarz i białe brwi, w nieudanej próbie połączenia jej z czymś w swej pamięci.

— To śmieszne — powtórzył.

— Naprawdę? — Starszy mężczyzna uśmiechnął się dobrodusznie. — A dlaczego?

— Przecież... — sytuacja była tak oczywista, że Terri się zaplątał – trochę zabrakło mu słów. — To oczywiste, że zamierza pan coś na mnie wymóc, inaczej dotarłby pan do mnie normalnymi kanałami. Zaś każda myśl o wymuszeniu czegoś na mnie, jest – no cóż, śmieszna.

— Dlaczego?

— Dlaczego? Ty stetryczały stary głupcze, nie wiesz, że mam osłonę? Nie wie pan, że wszyscy urzędnicy rządowi, począwszy od klasy piątej w dół, noszą pełne osłony osobiste, które są nie tylko nie do przebicia, ale zawierają we wnętrzu pola wszystkie elementy niezbędne do podtrzymania życia, przez ponad dwadzieścia cztery godziny? Nie wie pan, że jeśli zaginę na dwie godziny, co najwyżej, to będą mnie szukać i zostaną zlokalizowany w czasie nie więcej niż kolejnych sześćdziesięciu minut? Oszalał pan?

Starszy mężczyzna zachichotał, zacierając swe suche ręce. Zauważył:

— Ja również mam osłonę. Pan, mnie też nie może dostać. A teraz całe pomieszczenie jest osłonięte. Nie uda się panu z niego wyjść.

Terri gapił się na niego. Początkowy szok już mijał. Jego własne stwierdzenia odnośnie pełnego charakteru jego ochrony, przywróciły mu pewność siebie, oraz jego naturalną zimną krew.

— Czego pan chce? — zapytał, mierząc swojego rozmówcę uważnym spojrzeniem.

— Cieszyć się pańskim towarzystwem — odparł starszy mężczyzna. — Istnieją między nami pewne bardzo silne związki. Tak, bardzo silne. Musimy poznać się nawzajem od strony osobistej.

Terri uznał, że źle zinterpretował sytuację. Towarzyszyła temu ulga, zmieszana z odrobiną smutku odnośnie sposobu w jaki pozwolił sobie na okazanie niepokoju. Oparł się wygodnie o oparcie fotela i pozwolił by do jego głosu wkradła się nutka oficjalnej wyniosłości i rozdrażnienia.

— Rozumiem — oświadczył. — Pan czegoś chce?

Starszy mężczyzna energetycznie skinął głową.

— Chcę. Rzeczywiście, chcę.

— I wydaje się panu, że ma pan do dyspozycji pewne narzędzie przetargowe, które jest użyteczne, ale mogłoby utracić ten charakter, gdyby poznały je czynniki oficjalne.

— No cóż... — ostrożnie stwierdził starszy mężczyzna.

— Proszę nie marnować mojego czasu — przerwał mu szorstko Terri.

— Nie jestem zwykłym politykiem. Nikt, kto pracuje w kręgach rządowych poniżej piątego poziomu, nie jest. Nie dotarłem do miejsca, w którym jestem obecnie, chodząc na paluszkach i nie mam wolnego czasu aby go tracić na ludzi, którzy mają go za dużo. A teraz, czego pan sobie życzy?

Jego rozmówca zarechotał.

— A teraz, co pan powie na to? — oznajmił w odpowiedzi, dotykając złośliwie palcem czubka nosa.

— Jest pan stary — stwierdził Terri. — A co za tym idzie, ostrożny. W konsekwencji, nie ryzykowałby pan, próbując wydusić coś ze mnie siłą, ale niemal na pewno próbuje mi pan coś sprzedać. Zastanówmy się więc, czego pan chce? Nie jakichś zwykłych rzeczy, niewątpliwie. W związku ze swoim stanowiskiem, mam wszystkie rzeczy materialne, jakich mógłby pragnąć człowiek, a dzięki osłonie cieszę się pełną odpornością. Nikt, poza samym Biurem Centralnym, nie potrafi przebić tej osłony. I nikt, poza nimi, nie jest w stanie powstrzymać odruchu warunkowego, który zatrzyma moje serce, gdyby z jakiegoś powodu została jednak przebita. Trzymam w garści każdego z podległych mi ludzi, co powstrzymuje ich przed próbą wbicia mi noża w plecy. Jest tylko jedna rzecz, której pragnę i którą mógłby pan mi ewentualnie dać... — nachylił się do przodu, wbijając wzrok w głęboko osadzone oczy swego rozmówcy — ... a jest nią środek dobrania się do człowieka, który jest nade mną. Czy mam rację?

— Nie — odparł starszy mężczyzna.

Terri zeszywniał.

— Nie? — powtórzył z gniewnym niedowierzaniem.

Ich oczy jakby szczepiły się razem. Mierzyli się tak wzrokiem przez dłuższy czas, aż w końcu Terri uciekł spojrzeniem na bok.

Starszy mężczyzna westchnął – pociągnął głośno łyk ze szklaneczki z drinkiem, stojącej na stoliku koło jego fotela.

— Proszę poczekać! — zawołał Terri. Ku swemu zaskoczeniu usłyszał w swoim głosie gorliwość, a nawet lekką obawę o spełnienie budzących się w

nim nadziei. — Proszę poczekać. Już wiem. Czeka mnie test. Człowiek idący w górę zawsze jest poddawany testowi. Jego przełożeni obserwują go w chwili, kiedy najmniej się tego spodziewa. Tak samo byłoby ze mną, gdybym był gotów na czwarty poziom. A pan ma jakiegoś rodzaju informacje z góry. Wie pan, na czym ten test ma polegać. Być może zna pan człowieka, który będzie nim kierował. Chce pan mi sprzedać te informacje.

Jego rozmówca nic nie powiedział.

— No więc — Terri rozłożył ręce w geście otwartości. — jestem zainteresowany. Kupuję to. Czego pan chce? Pieniądzy? Przysługi? Protekcji?

— Nie.

— Nie?! — krzyknął Terri, zrywając się ze swego krzesła. — Co pan rozumie, przez „nie”? Czy nie potrafi pan powiedzieć nic innego, poza „nie”? — Ogarnęła go ślepa furia. Wypchnął się do przodu, robiąc dwa rozwścieczone kroki, by stanąć w groźnej pozycji nad postacią starszego mężczyzny. — Ty bełkoczący idioto! Mów czego chcesz, i to szybko! Moje dwie godziny niemalże już się skończyły. Zaczną mnie szukać. Będą tutaj w ciągu paru minut — Straż Biura. Przebiją osłonę pomieszczenia. Uratują mnie. A ciebie wsadzą do więzienia. Zostaniesz przesłuchany. A potem stracony. Na mój rozkaz. Czy zrozumiałeś? Twoje życie zależy ode mnie.

Po chwili starszy mężczyzna ponownie zachichotał.

— Tak — wymamrotał, piskliwym starczym głosem. — Tak to będzie wyglądało.

Terri gapił się na niego.

— Chyba pan nie rozumie. Umrze pan.

— Och tak — odparł starszy mężczyzna, pobłażliwie kiwając głową. — Umrę. Ale, jestem już starym człowiekiem. I tak umrę za jakiś rok... a może nawet dzień. Ale dla pana — dla młodego człowieka, takiego jak pan — idącego w górę młodego oficjela z kręgów rządowych, mającego wszystko do stracenia... — łypnął chytrze okiem w stronę Terriego. — Śmierć nie jest dla pana czymś tak łatwym do przyjęcia.

— To ja umrę? — powtórzył Terri, oszołomiony. — Ale przecież ja nie umrę. Oni przebędą tu, żeby mnie uratować.

— Och, czy aby na pewno? — stwierdził ironicznie starszy mężczyzna.

— Oczywiście! — oburzył się Terri. — Oczywiście, jakże mogłoby być inaczej?

Straszy mężczyzna mrugnął złowieszczo, głęboko osadzonym okiem.

— Wspaniały młody człowiek — oznajmił. — Idący w górę i przyszłościowy młody człowiek. Błyskotliwy. Nigdy nawet nie pomyślał, o ludziach zdeptanych przez siebie w drodze po szczeblach kariery. A niech mnie.

— Co pan przez to rozumie? — spytał Terri.

Stare oczy, uniosły się nagle do góry i przeszyły go wzrokiem na wylot.

— Czy pamięta pan Kilaren?

— K-Kilaren?

— Kilaren — wyrecytował starszy mężczyzna, tak jakby cytował to nazwisko z gazety. — Piękna, młoda sekretarka prowincjonalnego

gubernatora, którego lubieżne i nienaturalne zakusy doprowadziły do jej samobójstwa. Pewnego dnia, aby uciec przed gubernatorem, wyskoczyła albo wypadła z wysoko położonego okna. A ludzie z tej prowincji, między którymi przez długi czas krążyły paskudne opowieści i pogłoski, w końcu wdarli się tłumnie do biura i zlinczowali gubernatora, wieszając go z tego samego okna, z którego wyskoczyła dziewczyna. Mówiono, że nawet upadek nie zniszczył jej piękna, ale to była prawdopodobnie nieprawda.

Słowa starszego mężczyzny roztopiły się w ciszy.

— Jeśli nawet, to co z tego? — zauważył Terri. — Cóż to ma wspólnego ze mną?

— Przecież pan tam był. Był pan doradcą gubernatora i kiedy tłum rozszedł się do domu, a emocje nieco opadły, wszedł pan w powstałą lukę i przechwycił stery władzy, tak sprawnie radząc sobie ze wszystkim, że natychmiast awansowano pana na pomniejsze stanowisko w Mieście Rządowym.

— Co z tego?

— To z tego, że to była pańska robota — odparł jego rozmówca nieco strofującym tonem. — Plotki, opowieści, tłum, a nawet samobójstwo. Biedna Kilaren, godny litości pionek w pańskiej bezwzględnej grze, mającej na celu wyeliminowanie gubernatora w szaleńczym pędzie po szczeblach kariery.

— Nigdy jej nawet nie tknąłem! — zawołał Terri skrzeczącym głosem. — Przysięgam.

— A kto powiedział, że pan to zrobił? Człowiek o osobowości dopuszczającej sięgnięcie po morderstwo, nigdy by nie dotarł tak daleko jak pan. Ale to pan ją zatrudnił, znając skłonności gubernatora. To pan obciążył ją pracą, która zmuszała ją do pobytu sam na sam, noc za nocą, z tym człowiekiem. Żerował pan na jej strachu przed utratą pracy. Kiedy już popełniła swój grzech, rzucił pan jej nim w twarz. Mówił pan jej, kim mogłaby być, kim była, a kim powinna być. Łamał ją pan dzień po dniu. W sterylnej prywatności biura upokarzał ją pan, pogardzał nią, doprowadził do tego, że uwierzyła iż zmieniła się w kogoś, kim nie była, w brudne i godne pogardy stworzenie. Zablockował pan jej wszystkie drogi ucieczki, poza jedną, która prowadziła przez pewne wysoko położone okno. To pan ją zabił!

— Nie!

— Tak!

Terri złożył swe drżące dłonie razem i zacisnął je na biodrze. Wpatrywał się w starszego mężczyznę.

— Kim pan jest?

— Byłem jej przyjacielem. Mieszkaliśmy w tym samym apartamencie hotelowym. Nie miała rodziny. Zdaje się, że pan to wiedział, kiedy ją pan zatrudnił.

— Rozumiem — stwierdził Terri. Wziął długi, drżący oddech i oparł się o oparcie krzesła. — A więc, to o to chodzi — powiedział, jego głos

wzmacniał się z każdym wypowiedzianym słowem. — Mogłem się tego domyśleć. Szantaż. Zawsze znajdują się jacyś głupcy, którzy próbują szantażu.

— Nie — odparł starszy mężczyzna. — Nie chodzi o szantaż, panie Kontrolerze. Chcę pańskiego życia.

Terri zaśmiał się krótko, pogardliwie.

— Wiedza, którą pan posiada, nie jest w stanie zagrozić mojemu życiu.

— Przybędą tutaj — mówił dalej starszy mężczyzna, opierając się ze zmęczeniem o swoje poduszki. — Tak jak pan powiedział, Strażnicy Biura przybędą tutaj; myślę, że zabiję się, w chwili kiedy usłyszymy, że zaczynają się przebijać przez osłonę otaczającą to pomieszczenie. Dostaną się do środka i znajdą pana z martwym człowiekiem. Co pan im wtedy powie, Terri?

— Co im powiem? To, na co będę miał ochotę. Oni mnie nie będą przesłuchiwać.

— Nie. Strażnicy nie będą. Ale Biuro będzie. Jak mogliby awansować kogoś na czwarty poziom, kiedy istnieje dwugodzinna tajemnicza przerwa w jego życiu? Będą chcieli wiedzieć, co pan tutaj robił.

— Zostałem porwany — odparł Terri.

— Przez kogo? Może pan to udowodnić? I dlaczego?

— Zostałem tutaj uwięziony.

— Przez martwego człowieka? Nie, nie, Terri. Okoliczności są zdecydowanie podejrzane. Wyszedł pan z ambasady z własnej woli. Zniknął pan i został odnaleziony w osłoniętym tarczą pomieszczeniu, razem z człowiekiem, który popełnił samobójstwo. To musi zostać wyjaśnione, i w końcu będzie pan zmuszony powiedzieć im prawdę.

— A co, jeżeli to zrobię? — rzucił wojowniczo Terri.

— Ale prawda jest tak fantastyczna, Terri. Będę martwy, a jestem jedynym człowiekiem, który może potwierdzić pańską historię. Ci ludzie, którzy byli tutaj wcześniej, są zwykłymi aktorami. Nie mają pojęcia, dlaczego chciałem, aby pana zwabiono w to miejsce. To moje mieszkanie. Zaś między mną i martwą Kilaren nie ma żadnego oczywistego powiązania. A może, zdecyduję się pożyć nieco dłużej. Na tyle długo, aby zadenuncjować pana jako zdrajcę, kiedy tu wejdą.

Terri wpatrywał się w niego z popielatą twarzą.

— Biuro będzie musiało pana przesłuchać. Zacisną blok na pańskim umyśle, tak by nie mógł pan użyć odruchu, zatrzymującego pańskie serce. A potem będą panu zadawać pytania, w kółko, bez końca, ponieważ Biuro nie może pozwolić sobie na ryzyko. Znajdzie się pan w prywatnym piekle swego własnego ja, Terri. Będzie pan opowiadał w kółko historię zła, jakie wyrządził pan tej dziewczynie, błagając żeby panu uwierzyli. A oni nie będą panu wierzyć. I w końcu zabiją pana, po prostu dlatego, że to najbezpieczniejsze rozwiązanie. Ponieważ, widzi pan, przez te dwie godziny pod osłoną, pan mógł robić coś zdradzieckiego.

Głowa Terriego kiwała się bezwładnie, jak u pijanego. Po raz ostatni zebrał siły.

— Dlaczego? — powiedział. — Dlaczego pan to robi? Pańskie życie. Odda je pan za dziewczynę, która nie miała z panem żadnych powiązań?

Starszy mężczyzna złożył dłonie.

— Byłem trochę taki sam jak ten pański gubernator — oznajmił. — Wszyscy mamy na sumieniu jakieś grzechy. Kochałem Kilaren i wstrząs związany z jej śmiercią, zrujnował mi zdrowie. — Nachylił nagle głowę w jedną stronę. — Niech pan posłucha — powiedział.

Spoza zamkniętych drzwi pomieszczenia, dochodził ledwie słyszalny odgłos piskliwego brzęczenia. Stopniowo jego siła narastała, jednocześnie robił się coraz wyższy. Terri zerwał się na nogi i przez kilka sekund szarpał się to w jedną stronę, to w drugą, jak dzikie zwierzę próbujące wyrwać się z potrzasku. Później, jakby wyciekły z niego resztki woli, zatrzymał się na środku pokoju i zamknął oczy. Przez ułamek chwili stał tam bez ruchu, a potem chwyciły go lekkie konwulsje i upadł.

Z lekkim uśmiechem na twarzy, starszy mężczyzna sięgnął ręką do ukrytego przełącznika i wyłączył osłonę wokół pomieszczenia. Przez drzwi wpadła gromada umundurowanych strażników, zatrzymując się w zmieszaniu na widok leżącego na podłodze ciała.

— Przepraszam — powiedział starszy mężczyzna, — musiałem włączyć osłonę przez pomyłkę. Próbowałem kogoś wezwać. Pan Kontroler chyba miał atak serca.

KONIEC